

BOŻEK TEMPLARIUSZY



WYDAWNICTWA
BENEDYKTYNÓW
TYNIEC

Anna Borkowska

BOŻEK TEMPLARIUSZY



TYNIEC

WYDAWNICTWO BENEDYKTYNÓW

Projekt okładki: Kamil Kwiatkowski

Korekta: Agnieszka Nieć

Imprimi potest: Opactwo Benedyktynów
L.dz. 148/2011, Tyniec, dnia 20.09.2011 r.
† Bernard Sawicki OSB, opat tyniecki

Wydanie II: Kraków 2011

ISBN 978-83-7354-399-7

© Copyright by TYNIEC Wydawnictwo Benedyktynów
ul. Benedyktyńska 37
30-398 Kraków
tel. +48 (12) 688-52-95
tel./fax: +48 (12) 688-52-91
e-mail: zamowienia@tyniec.com.pl
www.tyniec.com.pl

Epizod cysterski

W roku Pańskim 1928, w klasztorze cystersów w Sulejowie, jakieś лихо podkusiło opata Bernarda, żeby oblekanemu właśnie nowicjuszowi nadać swoje własne imię: także Bernard. Że to, po pierwsze, wielki święty Bernard, patron i wzór zakonu, da sobie radę także i z dwoma na raz; po drugie, nikomu w domu i tak się nie pomyli, kto „ojciec opat”, a kto obecnie „brat Bernard”, w przyszłości zaś „ojciec Bernard”. A po trzecie – tu opat zmrużył oczy i mruknął coś po łacinie, w czym wyraźnie dało się odróżnić tylko słowo *impetus*. Ojcowie także mrugnęli na siebie, przemówienie na tym się skończyło i ceremonia obłóczyn potoczyła się dalej.

W rok później, kiedy przyszło głosować na dopuszczenie brata Bernarda do ślubów, jeszcze przeszedł, ale znikomą większością głosów. Było już całkiem jasne, że jednego świętego Bernarda (tego z Clairvaux) trzeba by złożyć z obu sulejowskich Bernardów, biorąc uczoność ojca opata i charakterek braciszka. Niemniej, jako się rzekło, jeszcze przeszedł, bo głosujący w kapitule ojcowie wzięli pod uwagę jego prawość i dobre chęci. W rok później już by nie mieli siły kierować się tak obiektywnymi względami, bo go już wszyscy mieli dosyć; ale kłamka zapadła, nie można było wydalić, trzeba było znosić.

Szedł więc po stopniach zakonnej inicjacji. Niestety już przed wstąpieniem miał za sobą całe trzy lata seminarium, więc nie na długo pozbyto się go z domu, kiedy musiał dorobić resztę. W roku 1934 dostał święcenia i (zwany już odtąd ojcem Bernardem) zaczął objąć się po Sulejowie w dość nieokreślonej roli pomocnika przy

klasztornej parafii. Na oficjalnego wikarego ojciec proboszcz go nie chciał za żadne skarby świata.

Był to czas, kiedy zakon dopiero odżywał po całym wieku katas. Ojców w Sulejowie nie było wielu, toteż chórowe i gospodarcze obowiązki sypały się obficie na wszystkich i było w domu co robić; tylko że i w domowych pracach każdy wołał już z dwojga złego zrobić sam, niż dostać o. Bernarda do pomocy. Wreszcie w roku 1937 wszyscy odetchnęli: wysłano go do pracy duszpasterskiej w sąsiedniej diecezji. Biskup tamtejszy zaproponował sulejowskim cystersom objęcie małej, zagubionej wśród lasów i bagien wiejskiej parafii, od której jego świeccy księża wymawiali się wszystkimi siłami. Opat myślał o nowej fundacji – nie zaraz, za jakieś dziesięć lat, jak już będzie miał ze czterdziestu mnichów – toteż propozycję przyjął, z tym że na razie miał posłać jednego tylko, na proboszcza. Wybrał o. Bernarda. Jak twierdzili złośliwi, rozstrzygającym argumentem miała być nazwa tej wioski.

To wszystko jest po prostu wyjaśnieniem, dlaczego podczas wojny proboszczem w Piekielniku był akurat cysters i to akurat imieniem Bernard.

Epizod uniwersytecki

Historią templariuszy nikt się jeszcze w Polsce nie zajmował poza Ulanowskim i Kiryłowiczem. Z tych pierwszy napisał tylko rozprawkę o ich udziale w bitwie pod Legnicą; drugi badał wprawdzie szerzej historię zakonu tak w Polsce, jak i poza nią, ale jego rękopisy spłonęły w Powstaniu.

Trudno dzisiaj dostępny (bodajże jedyny zachowany egzemplarz trafił jakimś cudem do Jagiellonki) rocznik warszawskiego pisemka studenckiego „Żak” z roku akademickiego 1938–1939 przynosi w numerze z 18 stycznia 1939 ciekawą relację o pogadance Kiryłowicza dla studentów, dotyczącej właśnie templariuszy. Autor tej relacji, podpisujący się „kolega Henryk” (Henryk Lewandowski, zginął we wrześniu) był wtedy studentem drugiego roku historii; widać z jego tekstu, że zauroczyła go przygoda kwerendy archiwalnej, i że to wszystko, co tego wieczora usłyszał, przedstawia po prostu jako wzór do naśladowania. Najwyraźniej identyfikując się ze swoim uczonym bohaterem, przeżywa już w nadziei własną przyszłą pasję badawczą, własne przyszłe triumfy; i na razie wszystko mu jedno, czy tematem są templariusze, czy Aztecy lub Jadźwingowie. Jest w tym wzruszający szczeniący entuzjazm – i sporo racji: ostatecznie każdy temat potrafi wciągnąć, jeśli mu się naprawdę poświęcić.

Nawet z tej relacji można się jednak zorientować, że profesor Kiryłowicz, przedstawiając gronu niewypierzonych adeptów swej sztuki odkrycia, których na razie jeszcze nie próbował ogłosić, zrobił to nie po to, żeby w nich wzbudzić naukowy zapał, ale z widokiem na pewne korzyści dla siebie. Powróciwszy jesie-

nią z Francji, gdzie szukał materiałów dotyczących kasaty templariuszy, Kiryłowicz pomimo zimy błąkał się swoim starym Fordem po jakichś zapadłych dziurach, wyjeżdżając i wracając co tydzień, pomiędzy wykładami; wreszcie musiał dojść do wniosku, że sam jeden nie znajdzie tego, czego szuka, i postanowił zwerbować sobie pomocników.

Na sali było ze trzydzieści osób, w większości studentów i studentek historii. Kiryłowicz zaczął od przypomnienia ram czasowych i dziejów zakonu: w roku 1119 założenie Ubogich Rycerzy Chrystusa w Jerozolimie, zaraz potem wpływy św. Bernarda, który dla nich układał Regułę, opartą na własnej; rosnąca ich potęga i bogactwo, wycofanie się pod naporem muzułmańskim z Ziemi Świętej na Cypr i z Cypru do Francji – wreszcie oskarżenie o herezję i likwidacja zakonu w latach 1307–1314, dokonana głównie przez króla francuskiego Filipa Pięknego, który też zagarnął, co mógł, z majątku zakonu. Nie udało mu się natomiast znaleźć rzekomego „bożka” templariuszy; w dodatku ostatni ich wielki mistrz, Jakub de Molay, przed śmiercią odwołał wszystkie zeznania dotyczące tego bożka, jako wymuszone na torturach. Z czego by mogło wynikać, że żadnego bożka w ogóle nie było. Zwłaszcza że właśnie za to odwołanie Jakub de Molay ostatecznie zginął.

– Nie próbując rozstrzygać tej kwestii – mówił Kiryłowicz – zajmijmy się dwoma króciutkimi tekstami źródłowymi. Jeden z nich znaleźć można u Micheleta, który w połowie zeszłego wieku zebrał i wydał protokoły z procesu templariuszy; drugi to fragment pocziwego naszego Długosza, fragment (moim zdaniem) źle dotychczas przekładany, a więc i źle rozumiany. Oto tekst pierwszy. W roku 1307, a dokładnie biorąc – 28 października tego roku, aresztowany wraz z resztą współbraci preceptor Szampanii Raul de Gizey opisuje wygląd tego bożka, po czym zeznaje – wszystko to oczywiście na torturach – że wiedział o planie uratowania bożka

przed spodziewaną już od jakiegoś czasu napaścią królewską –
...inito pacto cum duce orientis valde saevo.

„W przymierzu z bardzo dzikim księciem Wschodu”. Michelet dodaje tutaj w przypisie objaśnienie, że chodzi po prostu o Lucyfera: brat Raul oskarżałby więc wielkiego mistrza o coś zbliżonego do sprzedania duszy diabłu, a to w intencji ocalenia „bożka”. Zastanawiające jest jednak, że sędziowie, którzy na wszystkie inne wzmianki o szatanie reagowali gradem podchwytliwych pytań – przecież o to im właśnie chodziło, żeby wykazać diabelskie koneksje templariuszy – tym razem nie pytają o nic, nie pytają nawet, jak i gdzie próbował wielki mistrz zawrzeć takie piekielne przymierze. Zadałem sobie ten trud i sprawdziłem: we wszystkich protokółach to jest jedno jedyne miejsce, w którym żadne takie pytanie nie pada. Proszę państwa, w tym gronie nie muszę chyba pytać, co robimy, kiedy w edycji tekstu źródłowego trafiamy na jakąś zagadkę. Co robimy przede wszystkim. Oczywiście: szukamy oryginału.

Z tym bywa trudniej – i było także tym razem – ale jednak znalazłem. Chodziło mi o to, jak w oryginalnym zapisie przedstawia się ten „bardzo dziki książę Wschodu”. Wiadomo państwu, że wydawca nieraz dobrze się musi nagłowić, poprawiając pomyłki lub uzupełniając luki w rękopisie – ale też nieraz przy tym i sam się pomyli. Michelet znalazł w rękopisie litery: *vald... slavo*. Po „vald” jedna litera jest uszkodzona przez małego robaczka, który przed wielu zagadkami postawił już historyków: przez rybika. Michelet uznał więc, że brak tam litery „e”, która wstawiona w tym miejscu, tworzyła zrozumiałe i sensowne słowo *valde*. Po czym *slavo*, dość zresztą niewyraźne, odczytał albo poprawił jako *saevo*, i tak tekst wydał. Równie możliwa jest jednak lekcja *Valdislavo*. I jeśli brat Raul miał na myśli nie szatana, ale „księcia Wschodu Władysława”, podając jego imię w takiej formie, w jakiej potrafił je wymówić, „Valdyslav”, i sędziowie tak to właśnie zrozumieli – to już się nie dziwimy, że pominęli tę sprawę: nie o konszachty z Łokiet-

kiem oskarżano templariuszy. Bo jeśli moja lekcja jest właściwa, chodzi tu niewątpliwie o Łokietka.

Jesteśmy więc teraz, proszę państwa, w sytuacji kogoś, kto nakręcił we Francji numer telefonu i czeka, czy mu z Polski odpowiadzą. Na pierwszy rzut oka wygląda na to, że nie. Długosz mówi (i to, jak na siebie, dość obszernie) o kasacie templariuszy, ale dopiero pod rokiem 1312. Może dlatego, że właśnie w tym roku papież urzędowo dokonał kasaty, przeprowadzonej już faktycznie przez króla Filipa Pięknego wcześniej, i przydzielił joannitom te dobra skasowanego zakonu, których dotąd nie zagarnęli jeszcze władcy świeccy. Nie jest to jednak data ani faktycznej likwidacji templariuszy (pamiętamy, 1307), ani też śmierci na stosie wielkiego mistrza i jego towarzyszy: to stało się dopiero w roku 1314. Dla Długosza oczywiście to nie ma znaczenia: rok czy dwa wcześniej czy później, kiedy wszystko było już tak dawno, a z dokładniej przez niego opowiadanyimi dziejami władców polskich i tak się nie wiąże... Tylko czy na pewno się nie wiąże! Proszę państwa, nieraz już sporządzano dokładne indeksy rzeczowe do Długosza i łatwo sprawdzić, że nigdzie tam, gdzie te indeksy wychwytyują wzmiankę o templariuszach, nie ma ani słowa o jakichkolwiek ich umowach czy kontaktach z Łokietkiem. Ale jest jedno bardzo niejasne a bardzo ciekawe zdanie, którego indeks wyłapać nie mogłem, bo templariusze nie są tam po imieniu wspomniani. Pod rokiem 1306 opowiada Długosz krótko o wygnaniu z Francji wszystkich Żydów i konfiskacie ich dóbr przez króla. Jak widzimy, król Filip co roku musiał ratować swoją kasę przez jakiś uszminkowy na praworządność rozbój na równej drodze; a wybierał sobie do tego chytrze ofiary równie majątne, co niepopularne. Długosz nie bez ironii komentuje tę metodę:

...Qui rex astutiam pietati conjungens, Christi inimicos velut suos persequitur, ut spolia eorum divideat – „król ten, łącząc chytrą z nabożnością, wrogów Chrystusa prześladowuje jak swoich, po to,

by móc rozporządzać ich łupem”. Wygląda to na ogólną zasadę rządów, sformułowaną przy okazji jednego takiego wypadku, ale zakładającą, że było ich więcej. I zaraz dalej, jednym tchem:

...nec illae Satanae militiae prodest impiae locum iam dolo a Vladislavo duce obtentum: cui loci nunc nomen inferni recte datur.

I tu właśnie, proszę państwa, sprawa przekładu. Te dwa słówka: *Satanae militia*. Wszystkie dotychczasowe przekłady mają tu, bez żadnych militarnych skojarzeń, „sługi szatańskie”: a to dlatego, że tłumacze przyjmowali bez dyskusji, że chodzi nadal o Żydów, o których tuż przedtem była mowa, a o których Długosz nieraz jeszcze później wyrazi się nieżyczliwie. Ale przecież Żydów sprowadził do Polski dopiero Kazimierz Wielki! I jakże to miałyby im pomóc do ostania się we Francji podstępne zdobycie sobie siedziby w Polsce? I wreszcie, po co było określać ich koniecznie terminem oznaczającym zastęp wojskowy, tak niestosownym, że zrezygnowali z niego automatycznie wszyscy tłumacze?

Państwo już rozumieją oczywiście, o co mi chodzi. Stawiam przypuszczenie, że po relacji o jednym wypadku legalnego rabunku, dokonanego przez króla Filipa, i po sformułowaniu ogólnej zasady jego rządów, Długosz przez skojarzenie wspomina wypadek inny, podobny i z tego samego okresu pochodzący: już nie Żydów, ale właśnie templariuszy. Tu określenie *militia* jest już jak najwłaściwsze; poza tym Długosz, który w winę templariuszy szczerze wierzył, wyraźnie stara się rozgrzeszyć Władysława, pisząc, że go ci potępińcy podeszli. Tłumaczę jeszcze raz całe zdanie o Filipie:

„Król ten, łącząc chytrą z pobożnością, wrogów Chrystusa prześladowa jak swoich, po to, by móc rozporządzać ich łupem; także i owym bezbożnym żołnierzom szatana nie pomogła siedziba, podstępnie już otrzymana od księcia Władysława. Dzisiaj to miejsce słusznie nosi nazwę Piekła”.

Do czego miała im pomóc? Teraz z kolei z Polski zadzwonimy do Francji, a wiemy już, co nam tam odpowiedzą. Templariusze spo-

dziewali się już jakiejś wrogiej akcji, zapewne tylko nie przewidzieli, że nastąpi ona tak szybko. I chcieli przenieść: może stolicę zakonu, a może swoją największą świętość, owego bożka, jeżeli rzeczywiście istniał – na Wschód. Udało się coś podobnego krzyżakom, czemu by nie im? A Łokietek może pomyślał, że – klin klinem.

Przenosiny się nie udały, król Filip okazał się za szybki. Co się stało z bożkiem (powtarzam: jeżeli istniał), nie wiadomo do dzisiaj; zakon skasowano, jego członków wymordowano. Ale ja chciałbym wiedzieć, co to była za siedziba, którą im już dał Łokietek, a którą po zniesławieniu i kasacie ich zakonu nazwano tak brzydko. Gdzie mogła leżeć? Sięgnijmy po daty z biografii samego Łokietka. Pierwszy okres jego panowania (i to tylko w Wielkopolsce) zamyka się rokiem 1300, w którym go wypędzono, a na tron wezwano Wacława czeskiego. Otóż przed rokiem 1300 nie mogły jeszcze mieć miejsca żadne próby zdobycia przez templariuszy owej siedziby na Wschodzie, ponieważ dopiero w roku 1306, po przewiezieniu z Cypru do Paryża skarbcza templariuszy, król Filip rozpoczął akcję przeciwko nim. Drugi okres panowania Łokietka to jego rządy w Małopolsce, rozpoczęte właśnie w roku 1306. Zanim doszło do okresu trzeciego, do rozciągnięcia jego władzy na resztę kraju, templariusze dawno już byli skasowani. Mamy więc czas mniej więcej roku, pomiędzy jesienią 1306 i jesienią 1307: w tym czasie Jakub de Molay mógł porozumieć się z Łokietkiem, uzyskać od niego jakieś miejsce (niewątpliwie w Małopolsce) i tam, w oparciu o załogi śląskich i pomorskich domów zakonu (należących zresztą do tzw. prowincji germańskiej), rozpocząć budowę przyszłej swojej stolicy. Zapewne niedaleko tę budowę posunięto: najpóźniej wiosną 1308 roku musiała już dojść do Polski wiadomość o zagładzie zakonu. Potem nie było dla kogo budowy kończyć.

Bardzo chciałbym to miejsce znaleźć! Musi ono leżeć w granicach pierwotnej Łokietkowej Małopolski. To znaczy: od Podhala na południu aż po Inowłódz i Radom na północy, a z tamtej strony

Wisły nawet aż za Łuków; na zachodzie od Kłobucka i Lelowa, potem granica szła Pilicą – na wschodzie nieco poza Lublin. Na tym obszarze szukać należy jakiejś zapadłej dziury, która ma *nomen inferni*. Nie uwierzą państwo, ile takich jest w Polsce! W samym tylko spisie urzędów pocztowych jest Pieklica, Piekiełko, Piekłuty i coś tam jeszcze, a nie należy także pomijać Inferka w Opoczyńskim oraz takich nazw jak Diablęta czy Potępne. Ale to wszystko ja już sam sprawdziłem. Wszystkie takie miejscowości pocztowe w Małopolsce zjeździłem i obejrzałem, i żadna z nich nie przechowuje śladów czternastowiecznej budowy zamku, żadna też nigdy nie należała do joannitów – to ważna poszlaka: państwo pamiętaj, że właśnie joannitom przydzielono, gdzie jeszcze było co przydzielać, nieruchomości po templariuszach. Musi to być jakaś jeszcze mniejsza osada, nieposiadająca dziś nawet poczty, mało komu znana, zagubiona daleko na głuchej prowincji...

Mniej więcej tutaj „kolega Henryk” zakończył swoją relację z wykładu Kiryłowicza. Kolega Henryk nie interesował się ani śladami zamku templariuszy – na co komu potrzebne trochę zmurszałej cegły? – ani gorącą dyskusją, która nastąpiła po wykładzie, ale która nie miała żadnego związku z techniką kwerendy archiwalnej. Ani zresztą z apelem Kiryłowicza o pomoc w znalezieniu tej osady. Obecni na sali studenci zajęli się bowiem z wielką pasją problemem etycznym: dopuszczalnością idei zakonów rycerskich w chrześcijaństwie w ogóle. Właściwie raczej niedopuszczalnością, bo przeciwnicy takiej idei byli na sali w większości; obie strony jednak były równie wymowne i równie zajadłe, obie też co chwila apelowały do profesora. Ten rozkładał ręce bezradnie, tłumacząc, że jako agnostyk nie czuje się powołany do wyrokowania w takiej kwestii; wyraźnie też coraz bardziej się złościł, że nikt jak dotąd nie zgłasza się do szukania owego długoszowego Inferna.

Ostatecznie go w końcu dobił pewien milczący dotąd słuchacz, który spod drzwi zapytał, jak wyglądał bożek templariuszy.

Kiryłowicz zabębnił palcami po stole.

– Pan chyba nie uważał, co mówiłem – powiedział tonem miażdżąco uprzejmym. – Nie wiadomo, czy ten bożek w ogóle istniał, a jeżeli nawet istniał, to nikt go poza samymi templariuszami nie widział.

– Ale co oni o tym zeznali? – upierał się student. Nie był to historyk, tylko filolog klasyczny, znany zresztą jako eks-kleryk.

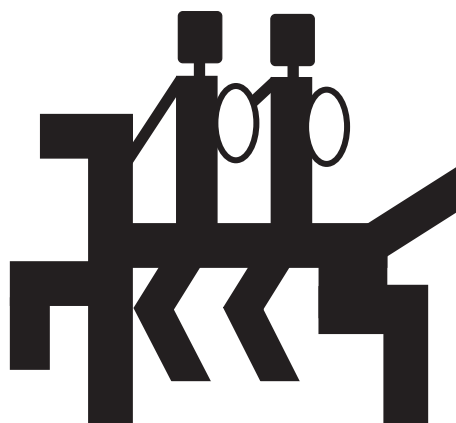
– Cóż, zeznawali, że to był wizerunek męskiej twarzy, brodatej, bez reszty ciała, namalowany na błyszczącej, poziomo ustawionej desce i wzbudzający strach.

– Czym wzbudzający strach?

– Niechże pan ich zapyta! To znaczy, odsyłam pana do tekstów wydanych przez Micheleta: tam znajdzie pan wszelkie szczegóły... Proszę państwa, jest zupełnie nieprawdopodobne, żeby znalazł się gdziekolwiek w Polsce taki wizerunek, a zwłaszcza żeby to on mógł nas naprowadzić na ślad poszukiwanej miejscowości. Gdyby jednak ktokolwiek z państwa, czy to w swoich rodzinnych stronach, czy też podczas wakacji znalazł jakąś taką osadę, będę ogromnie wdzięczny za wiadomość o tym! Jeszcze jedna poszlaka: gdyby państwo trafili na znak Poziomej Gwiazdy...

Odwrócił się i zaczął rysować na tablicy, dość zresztą zręcznie, chociaż schematycznie:

– Herb templariuszy – objaśniał przy tym – przedstawiał pierwotnie dwóch rycerzy siedzących na jednym koniu, ot tak:



... Był to jednak dość skomplikowany rysunek, który trudno było kuć w kamieniu, a przecież trzeba go było powtarzać w nieskończoność: na zwornikach sklepień i na zwieńczeniach portali, i w maswerkach okien... nie licząc już oznaczania nim wszelkich przedmiotów: broni, sprzętu, oczywiście pieczęci. W dodatku pomysł takiego herbu zrodził się z pierwotnego ubóstwa zakonu, ale gdy to ubóstwo raz na zawsze odeszło w przeszłość, ów jeden koń na dwóch rycerzy stał się przedmiotem szyderstw nieprzyjaciół. To też wielcy mistrzowie nie sprzeciwiali się, gdy stopniowo, w zgodzie zresztą z normalnym biegiem rzeczy, rysunek stawał się coraz bardziej uproszczony, coraz mniej czytelny..., aż w końcu w drugiej połowie XIII wieku była to już tylko jakby wydłużona gwiazda:



Proszę zauważyć, że nawet ułamek takiego herbu jest łatwy do rozpoznania, i gdyby ktoś z państwa..., gdziekolwiek...

Pokiwali głowami: tak, oczywiście, będą pamiętać – i zamilkli jak makiem siał: żadnych więcej pytań. A pozbywszy się profesora z sali, natychmiast podjęli znowu namiętą dyskusję: wolno czy nie wolno.

Student filologii nie brał w niej udziału.